Rok. I Nal. pocz. opł. GRUDZIEŃ 1928 Nr. 1

PROMIEŃ

PISMO POŚWIĘCONE LITERATURZE LUDOWEJ

ORAZ SPRAWOM KULTURALNO — OŚWIATOWYM

ORGAN LUD. ZWIĄZKU ART. LITER. „PROMIENISTYCH".

TREŚC NUMERU:

Rok I [illegible] GRUDZIEŃ 1928 Nr. 1

PROMIEŃ

PISMO POŚWIĘCONE LITERATURZE LUDOWEJ

ORAZ SPRAWOM KULTURALNO — OŚWIATOWYM

ORGAN LUD. ZWIĄZKU ART. LITER. „PROMIENISTYCH".

Warunki przedpłaty:
Rocznie z przes. po zł. 6 zł. 00 gr
Półrocznie „ „ 3 „ 00 „
Kwartalnie 1 „ 50 gr.
Rękopisów nie zwraca się.

Adres Redakcji i Administracji:
Kraków, ul. św. Filipa 12.
Konto P. K. O. Nr. 408.315.

Cena 1 egz.
50 groszy.

Dr. STANISŁAW GRODZISKI.

Z dziejów ruchu ludowego w Polsce.

W Polsce od zarania 16-go wieku, zaczęła się gwałtowna przemiana wprowadzonego przez kolonizację systemu c z y n s z o w e g o na formę znacznie uciążliwszą dla poddanych, jaką była forma gospodarstwa f o l w a r c z n e g o.

Zdobycie Pomorza i Gdańska, otwarcie się rynków zbytu dla pszenicy polskiej było tym bodźcem, który pchał element ówczesnych obywateli do ograniczenia wolności ludu wiejskiego i dyktował paragrafy konstytucyj sejmowych z lat 1496 i 1510, aż doprowadził do pamiętnego epilogu z roku 1518, w którym wyrok krakowskiego sądu królewskiego orzekł, iż chłopu nie wolno pozywać pana przed sąd królewski.

Rok ten był grobem systemu czynszowego, a kolebką wszechwładzy szlacheckiej i to ustawodawczej, sądowo-karnej, jakoteż administracyjnej. I nawet rok 1768 nie zbyt daleko posunął się w postępie, bo odbierając to prawo jurysdykcji patrymonialnej przelał ją na stanowe sądy grodzkie.

Wszechwładza „panów" była więc nieograniczoną i faktu tego pominąć nie można w rozpatrywaniu zjawisk ruchu ludowego, ażeby nie stanąć przed niezrozumiałym nam problemem z lat znacznie,

późniejszych. Gdy w roku 1772 przyłączono Galicję do Austrji, okazało się, że świadczenia 367.207 rodzin chłopskich na rzecz pana w tym roku wynosiły (według fasyj podatkowych) 10 1/2 miljona dni roboczych pieszych, 7 1/2 miljona robocizny ciągłej jedną parą, 4 1/2 miljona dwoma parami koni; dalej płacili chłopi 3 miljony złotych w gotówce, 186 tysięcy korcy zboża i t. d. i t. d., pomijając przywileje społeczne, stanowe oraz przemysłowo-handlowe.

Skutki ekonomiczne i społeczno - narodowe poddaństwa były tem gorsze, im cięższą była poddańcza niedola, a u nas były one, pominąwszy względy natury ekonomicznej, jedną niezatartą plamą, której dziesiątki lat znojnej pracy całkowicie do dnia dzisiejszego zatrzeć nie zdołały.

Powiały nowe wiatry. Encyklopedyści, szkoła ekonomiczna, Adam Schmit i cała nauka 18 i początków 19 wieku zastały nas jako naród w kajdanach. Hasła Konarskiego, Staszica i Kołłątaja przeszły bez echa, jak niezrozumiałemi były manifesty Kościuszki.

Inne ręce zaczęły rządy, rządy w czasach przełomowych, w czasach co najmniej równych obecnym, bo w czasach, które położyły fundament pod ustroje państw i społeczeństw, pod ich strukturę społeczną, narodową i ekonomiczną.

Nowi ludzie — czy nimi byli Józefy, Leopoldy, Fryderyki, Aleksandry czy Ferdynandy, wszystko to niekłamani postępowcy w stosunku do nas przed pół wiekiem, zgranych partnerów politycznych.

Posypały się reformy, hasła, manifesty, znaleźli się pisarze i urzędnicy, wszystko słudzy bogów oświeconego absolutyzmu, którzy idąc z duchem czasu zmuszeni byli pomyśleć i o tych, o których przed „deklaracją praw człowieka“ nie myślało się zupełnie.

Wyłonił się antagonizm jako odpowiedź na pytanie, kto w krainie na Wisłą i Bugiem będzie dyktował prawa, a urządzał stósunki.

Rok 1831 zakończył się przegraną.

Dlaczego upadliśmy? Dlaczego tak szczęśliwie poczęty ruch skończył się klęską? Oto pytania, jako zaród żalów i oskarżeń, od których zatrzęsły się mury Paryża. Odpowiedź znaleziono łatwo, a odpowiedz ta była zarazem początkiem prawdziwej, platonicznej często pracy nad „młodszą bracią“.

Gdy ważyły się losy Polski, gdy łamały się mury Warszawy pod naporem dywizyj sąnodzierżcy Wschodu, „poddany chłop“ orał ziemicę ojców, haseł, prądów, poczynań nie rozumiał, co więcej, nienawidził ich sercem niewolnika.

I oto z Paryża idą hasła nowe. „Bóg ziemię dał dla wszystkich“ poucza odezwa Towarzystwa demokratycznego — „chłopom należy się prawem własności ta ziemia, którą uprawiają“.

Uświadomienie propagują emisarjusze. W Krakowie powstaje „Związek mazurski“, „Młoda Sarmacja“, „Związek synów ojczyzny“, „Kosynierów“, w Tarnowie „Stowarzyszenie plebejów“, „Związek Bezimiennych“, Karol Borkowski organizuje „Przyjaciół ludu“, bracia Wiśniowscy „Kółka czytelniane“.

Lud staje się celem pracy — gorączkowej, pracy bez programu, bez znajomości duszy chłopa, w rezultacie raczej destrukcyjnej, niż budującej, w skutkach raczej zgubnej, niż twórczej.

„Wolne miasto Kraków“ działało ile mogło dla polepszenia doli. „Komisja włościańska“ pracowała szczerze przez szkółki włościańskie, przez propagande ulotnych pisemek, odczyty, konspirację. Rzuca się wówczas nieśmiałe hasła ulg stanowych, jak hasło zniesienia dziesięciny snopowej dla panów, ale wystkie te hasła rzucane bywają zapóźno, uprzedzane stale przez rządy zaborcze.

We Lwowie rok rocznie uchwalane wnioski sejmu stanowego, domagające się zniesienia pańszczyzny, nietylko do ucha chłopa, ale nawet rządu centralnego nie dochodziły, bo komuś z ciemnotą ludu było dobrze, ktoś nie życzył sobie kompromisu stanów.

A czereda absolutystycznej biurokracji galicyjskiej plątała sieć niezgody, rozsiewała kalumnje zdrad, jakobinizmu, aż piekło to skąpało się we krwi przy okrzyku: „niech żyje cesarz!“

Po kraju krążyły manifesty Towarzystwa demokratycznego, głoszące zniesienie przywilejów, przesądów i przywłaszczeń, panowanie równości.

„Ziemia nie należy do nikogo, płody ziemi

do wszystkich“ — pisze Mierosławski w Paryżu.

Owoce propagandy dojrzewały, mnożyli się wydawcy „Katechizmu demokratycznego“, na którego każdej stronicy wypisano, że winę upadku Polski ponosi szlachta, jej kastowość, ucisk ludu, że przez lud wiedzie droga po niepodległej, ludowej Polski, przez rewolucję społeczną do wolności. Jeżeliby szlachta stawiła rewolucji społecznej, uwłaszczeniu ludu opór, biada jej!!

I szły pierwsze wici z komunistycznej propagandy. W roku 1844 podniósł ks. Ściegienny ruch w Krakowskiem, pod hasłem wyrżnięcia szlachty i rozdania ziemi chłopom. Na czele chłopów uderzył na Kielce — ujęty umarł na Syberji.

Ale nie próżnowała i biurokracja. Czując zbliżające się wypadki pracowała po swojemu, o że pracować umiała, świadczą wypadki późniejsze.

Tajne związki Towarzystw parły do przyspieszenia powstania. Szlachta, celem zjednania ludu dla sprawy, brata się z chłopem, jeździ w drabiniastych wozach, zasadza poddanych na sofach i krzesłach. Chłop skutkiem zabiegów biurokracji nieufny, dopatruje się skrytych zamiarów. Ot n. p. podczas dożynków we wsi Szczepanowicach szlachta pije, tańczy, bawi się z chłopem, rozprawiając o wypędzeniu Niemców; a no, kiedy równość to równość. Urlopnik jakiś puszcza się w amory do swej tancerki — szlachcianki, aż wreszcie całuję ją siarczyście. Ale równocześnie otrzymuje policzek od brata po ałowanej, który wprawdzie równość apostołował, ale całus złożony przez usta chłopskie na szlacheckim policzku, uważał za obelgę. Urlopnik ów miał donieść władzom o działalności spiskowej, a chłopi stanęli jako świadkowie.

Rok 1846, rozpalił łuny powstania w całym zakątku południowo-zachodnim Polski, ale też tym łunom odpowiedziały wkrótce hiobowe wieści z cyrkułów: tarnowskiego, bocheńskiego, jasielskiego, których zgłuszyć nie zdołał odosobniony ruch chochołowski.

Rok 1848, a w nim rewolucja w Wiedniu, Paryżu, Berlinie, jak iskry galwanizujące przebiegły kraj. Wszędzie ruch gorączkowy, nowa fala rozpala umysły...

Zgnieciono nas jednak i wówczas. Z łaski „najmiłościwiej nam panującego“ uwłaszczono włościan, przypieczętowując na długi okres wiernopoddańcze uczucia ciemnego niewolnika, dla którego Ojczyzna zaczynała się na cyrkule, a kończyła się w Burgu.

Dopiero teraz uwypukliły się zgubne skutki wieloletniej stanowej zależności ekonomicznej z jednej, a szatańskiej deprawacji duszy ludu z drugiej strony.

Bezmyślność, ospałość i brak energji, pijaństwo i chęć karczemnej zabawy, nieskończenie mała produkcyjność pracy, lekkomyślność w poszanowaniu cudzej własności, a więc kradzieże, pożary, w pomnażaniu swego dobytku, a więc długi, licytacje. Dodawszy do tego straszne klęski nieurodzaju w latach 50-tych, najstraszniejsze jakie znamy klęski pomoru w Galicji w latach 1846 — 1856, w których blisko 1/10 część ludności pomarła, to będziemy mieć jasny obraz tego finale poddaństwa w przededniu drugiego tytanicznego okresu zmagań z jednej, a kiełkowania samodzielnego ruchu ludowego z drugiej strony.

Ruch lat 1863 i 1864 zastał lud wiejski w Królestwie jeszcze w pańszczyźnianej obroży — obroża ta pęka pod naporem faktów, będących wynikiem długoletniej, szczerej, a niezwykle intenzywnej propagandy. I tem tłómaczyć należy cokolwiek liczniejszy udział szerokich warstw w powstaniu, lubo były to wypadki więcej odosobnione, niżeli żywiołowe.

G a l i c j a? Galicja żyła przeszłością, wpatrzona w majestat wiedeńskiego władcy, którego dobrodziejstwa opiewała znana nam dobrze czereda biurokracji, obcej nam narodowo, a wrogiej ideowo. okres ostatnich zmagań wypadł na czasy tak pod względem okonomicznym ciężkie, jakich nigdy przedtem ani potem nie notowały kroniki, wypadł w czasach zbyt mało oddalonych od okresu zbrodniczej propagandy — i wśród ludu w Galicji niezrozumiałą na ogół pozostał ruchawką stanową.

Przez lat 20 prawie nic nam do zanotowania nie wypadnie poza religijno-humani-

tarnemi hasłami, poza nerwowo zaciśniętą krtanią starszego pokolenia, a jękami dochodzącemi nas z murów Ołomuńca i tajg syberyjskich, niewieleby wypadło naszkicować w tym okresie stagnacji z jednej, a skupienia się z drugiej strony.

Okres pierwszy, okres sztucznego kaptowania chłopa dla ideałów kultury szlacheckiej, okres wysiłku patrjotów, starszej braci, idących za powiewem haseł Zachodu, tak dziwnie ludowi naszemu obcych, o ile chodzi o cel zasadniczy, zamknąć musimy słowy Popławskiego: „Kultura chłopska, ludowa — obcą była szlacheckiej; tradycja przeszłości już dlatego, że jest wyłącznie szlachecką, musi być dla ludu obcą, często niemiłą, czasem nawet wstrętną“.

Lata 80-e cechuje już pewne tętno życia. Tym razem na czoło wysuwa się młodzież, zwłaszcza akademicka, tworząc Kółka patrjotyczne, jedne z szerokimi planami powstańczemi, inne o niejasnych ideach, ale silnych uczuciach, buntujących się przeciw rezygnacji politycznej, przeciw podnoszącym się w społeczeństwie coraz śmielej myślom ugodowym.

Życie tymczasem przynosiło prawie z dniem każdym wypadki, które jak taranem biły w społeczeństwo, budziły je z odrętwienia, uświadamiały niewolę, kazały myśleć o jutrze, o ratunku.

W Warszawie rządził od roku 1886 generał Hurko z Marją Andrejewną. W cenzurze Janculio, Apuchtin w szkolnictwie, dobierali środków najgorszej przemocy i trudu, by wytępić polskość, nawet w rdzennych narodowo okolicach. Jęk dławionej Litwy, martyrologja męczenników Podlasia, odbijały się echem w najdalszych zakątkach, wstrząsając silnie każdem polskiem sercem.

Z Berlina pada hasło „ausrotten“!

I nigdy zapewne nie przyszło na myśl demonowi, kującemu w kuźni pruskiego parlamentu wyjątkowe ustawy, by pragnąc złego — stworzył dobro! W tych latach Bismarck stanąwszy u zenitu swego antypolskiego szału, rzuca całemu narodowi w twarz setki miljonów dla wyparcia go z odwiecznych jego sadyb. Ta wojna z całem wyrachowaniem i okrucieństwem wydaną została nie klasie pewnej, nie dotychczasowemu władcy i spadkobiercy zmagań — ona wydaną została wszystkim tym, którzy polskim mówili językiem, dotknęła setek tysięcy i miljonów ludzi pracy, starców, chorych, kobiety i dzieci. Podważono odwieczną siedzibę „Piasta“ pouczając go o jego pochodzeniu, o jego narodowości. Dreszcz przebiegł przez żywy organizm narodu, i poznali wszyscy, że są braćmi.

I oto moment epokowy w dziejach ruchu ludowego.

Odpadać poczęły od narodu członki niektóre, a w nich ci przedewszystkiem, którzy należeli dotąd do jego opiekunów. A gdy w śmiertelnym tym boju, gdzie każda piędź ziemi jest drogą, coraz gęściej w objęcia komisji kolonizacyjnej zmykała wielka własność szlachecka, żegnana piekielną ironją Bismarcka: „idźcie do Monaco!“ a ostawały się harde i niezniszczalne „placówki“ chłopskie, musiał w wielu umysłach stosunek szlachty i inteligencji do ludu stanąć w świetle problematu, nietylko ekonomiczno-socjalnego. Program pozytywistyczny, zamknięty w ekonomiczno-socjalnej formule, zaczynał nie wystarczać — trzeba było iść naprzód, iść w takiem tempie, by nie być zalanym w powodzi coraz nowych ciosów.

W Galicji rządy samorządne, oparte jedynie o wykontuszowaną starszą brać, po dwudziestu latach pracy stanęły przed próżnią. Nędza i ciemnota zamiast się zmniejszać, robią przeraźliwe postępy, drwiąc śmiechem Almanzora z frazesów organicznej, stańczykowskiej pracy. Lud nie miał zaufania do pracy starszej braci, żył swoją kulturą i łatał te straszne wyboje, na jakich po uwłaszczeniu i pouwłaszczeniowym czasie pracować mu przyszło. Sejm był szlacheckim, był bractwem wzajemnej adoracji w którem chłopa nie było, jako, że i doniosłości onego nie rozumiał. Ambony, pisma, czytanki opiewały piękność wsi polskiej, w której to bogobojny chłopek z pieśnią „Kiedy ranne“ wyrusza po bożemu w pole, gdzie to skowroneczki nucą hymny wesela, radości i chwały.

Aż nagle w tej przykładnej ciszy zabrzęczały złowrogie pomruki. Czuć było nadciągającą burzę. Rok 1886 wstrząsa całą zachodnią połacią kraju, przeszywając paniką powtórzenia się wypadków roku 1846. Po 20 latach autonomji mazur nasz wie-

rzył, że panowie chcą przywrócić pańszczyznę, że nadchodzi koniec świata, wystawiając tem przykre świadectwo tym, którzy zamknięci w kółeczku swej kultury ciągnęli wytwale tanie taczki organicznych haseł.

Na tem tle wyrastać poczyna ruch nowy, niezrozumniały przez starszych, z zapałem przyjęty przez młodszych, a którego wyrazicielem stał się „Przegląd społeczny“ Bol. Wysłoucha. Ideowy ten kierunek odbiegał znacznie od kazań tułacza-jezuity Stójałowskiego, gnanego od wsi do wsi żandarmem Badenich i Puzynów, uzupełniał się jednak znakomicie, poszukując myśli polskiej w dążeniu do Polski etnograficznej, wolnej od krzywd społecznych, zbudowanej z pierwiastków ludu rodzimego. Nie zaznaczając ideału niepodległości, jaskrawo i stanowczo sekunduje temu programowi „Głos“ warszawski, tworząc łącznie z poprzedniemi kierunki, odbiegające znacznie od haseł pozytywizmu.

I zaczyna się zmieniać typ młodego człowieka. Wykształcenie społeczne zaczyna górować nad ciasnym utylitaryzmem, barjery pozytywizmu zaczynają łamać się pod naporem zalewu nauk społeczno-socjalnych.

Lud staje się hasłem — syntezą. Pod jego zawołaniem igą narodowcy, socjaliści i ci trzeci, którzy najmniej pewnie czują się jeszcze na właściwem sobie posterunku. Mnożą się pisma, ożywia literatura. Pytanie na jakiej warstwie opiera się byt i przyszłość narodu i ojczyzny pozostało jeszcze bez opowiedzi.

A życie przynosiło coraz to nowe fakta. Gdy w Prusiech demon wieku wytęża wszystkie swe siły, by zniszczyć żywioł polski, gdy „czarna księga“ zapełnia coraz to nowe kartki nazwiskami historycznemi, lud polski nietylko ziemi tej bronił, ale potężniał dokumentując dzień po dniu swą bezgraniczną miłość do cierni, pomnażając szeregi obrońców polskości. Obudził się lud górnośląski, wyłoniła się postać zapomnianego górala z pod Babiejgóry i robotnika z pod Bielska, zapukał do arki przymierza rybak kaszubski z nad brzegu Bałtyku.

Dr. Chałubiński odkrywa Zakopane i opowiada zdumionym epigonom haseł Świętochowskiego o ludzie dorodnym, pełnym temperamentu o niezwykle jędrnej kulturze pieśni, zdobnictwa sztuki ludowej, o tym zapomianym zatkątku gór i wirchów halnych. Poeci znajdują niewyczerpaną kopalnię motywów, zblazowani wieszczowie punkt oparcia w snach swych o potędze tych śpiących tatrzańskich rycerzy.

Idea ludowa rozrasta się w potęgę.

Z zakresu poezji i powieści wieje duch wiary w potęgę i siłę. Na arenę wysuwa się chłop, chłop prawdziwy i ciężki, o inteligencji prostej, pozbawionej wdzięku, wykwintu, ale za to chłop wolny od słabości, od zdenerwowania salonowców, w szerokiej piersi noszący potężny dech matki ziemi, z którą wszystkie jego nerwy związane. Ważkie swoje słowa rzuca na arenę walk o swe stanowisko, o swe prawa, dopomina się o swój potężny głos tam, gdzie radzono o nim a bez niego, gdzie zakóstniali w swej wielkości siedzieli patrycjusze, trącący nieco poblaskiem zachodzącej zorzy.

Zrozumiano znaczenie tego czynniku społecznego i przestraszono się go, bo jakżeż inaczej wyglądał ten chłop z miejskiej sielanki, skreślonej piórem brata starszego, a jakże inaczej pukać począł do drzwi przybytku władzy.

I oto narodziny ruchu ludowego jako zjawiska ściśle politycznego. Z nim niesłychany rozmach w pracy w poczynaniach, ale też daleko idąca deprawacja haseł, dusz, kierunku. Dziś lud, to obywatel w pełni świadomy swego stanowiska, walczący już nie o prawa ale o wpływy o władzę o rządy.

KONIEC.

FRANCISZEK LIPIŃSKI.

RADOŚC.

Życie, ty mnie nie upijaj smutkiem!
mnie radości potrzeba i słońca!
Ty wiesz przecie, jakie jesteś krótkie
nim cię zgubi śmierć triumfująca.

Chcę się cieszyć tobą i radować,
kwitnąć barwą czaru i nadziei —
jeśli kocham cię, to ty mnie prowadź
w światy szczęścia, gdzie słońce się śmieje!

Dość mam smutków, żalów i boleści!
Tyś jest piekne w swej architekturze.
Chcę cię, świecie, mą rozkoszą pieścić,
jak Bóg światem — w śródglobowym chórze.

Nie strącaj mnie ze szczytów radości
kiedy cieszę się i — w radość lecę:
w kraj mój w srebrach otwartej miłości,
szczęściem własnem, jako głownia świecić.

Wzleć z nad bólu, smutku i udręki
w swej radości beztroskiej, skrzydlatej,
i zaśpiewaj wesołą piosenkę
wszystkim smutnym tym mieszkańcom świata!

JÓZEF ALEKSANDER GAŁUSZKA

KOŚBA.

Pokós za pokosem – świst kos —
świetlistych węży syk wśród traw —
Kosiarze bose, złocistowłose —
za ciosem — cios — cios — cios — cios — świst
(kos —
Ponsowy oset w rosy skrach
lśni wśród traw jak paw,
jak perski, perski szach – szach — szach – szach —
Pokos za pokosem — kosy świst —
aksamitny, cichy cios — —
Kościsty tnie nad mistrze mistrz
kosiskiem długiem na sto wiorst
osty nie osty, kłos nie kłos,
ostrze źdźbła siecze wpół i wćwierć
Strach! strach! strach!
Za ciosem cios,
jak los:
czy pan, czy cham, czy perski szach — szach — szach
— szach
pokos za pokosem siecze Śmierć – –

PRZY PRACY.



CIĘŻKA CHWILA...

Ciężki ból me jestestwo przygniata,
Mroczne się cienie plotą z oddali
Płyną do mnie, gdzieś aż z krańców świata
Każdy inaczej przedemną się żali...
I stoję tak wpośród tego koła
Smutna, w szmery bolesne wsłuchana,
A w mej duszy potężny głos woła:
Że ból to jak ta fala wezbrana...
Płynie i nie uznaje przeszkody,
Nic go nie wstrzyma, nic nie nawróci

W przepaść bezdenną stacza narody,
A nikt bólu z swych barek nie zrzuci...
W przepaść głęboką — w noc zapomnienia,
Chowamy smutki. bóle tęsknoty
Tam kres znachodzą śmiałe dążenia
I tam zapłatę, za piękne cnoty ...
Ciężki ból me jestestwo przygniata
Mroczne się cienie plotą z oddali,
Płyną do mnie, gdzieś aż z krańców świata
I szepczą cicho: „jacyście mali“. —

MARYLA „WIDZ“.

BĄDŹ POCHWALONY!

Tobie Jehowo pierwocin objata
Coś jednem słowem świat stworzył z nicości
I duszę człeczą zbawiłeś z miłości
A stwórcą będąc z stworzeniem się bratasz
Coś bez początku Boże nieskończony
Bądź pochwalony!

I Tobie zbawco ma skromna danina,
Jako miłości synowskiej oznaka
Pieśń moja prosta jak szarego ptaka
Zabrzmi uczuciem w tęsknoty godzinach
Żeś na Golgocie za lud umęczony
Bądź pochwalony!

We wzgardzie zrodzon w pośrodku bydlęty
Świach zbawić z szedłeś: prawdzie dać (świadectwo.
Ulecz grzechowe duszy mej kalectwo
Wszak za mnie byłeś na krzyżu rozpięty
Dziś u stóp Twoich korzę się skruszony
Badź pochwalony!

Ze wzgórz przydrożnych obejmując sioła
Przybitą ręką na krzyżowem drzewie.
Tryskasz w krwi kroplach przebaczeń (zarzewiem
Z uwieńczonego ostrym cierniem czoła.
W chleba postaci dla nas utajony
Bądź pochwalony!

Przybądź o Boże z krain nadobłocznych
Duchu Światłości w ognistym jezyku
Odnów mój umysł, bym w wielkim okrzyku
Chwałę Ci głosił z dolin ziemi mrocznych
Duchu Najświętszy Bóstwem niezmierzony
Bądź pochwalony!

Bądź błogosławion Troisty — Jedyny
Władco wszechświata i stworzeń mrowiska
Co dzierżąc w dłoni splątane węźliska
Losów ludzkości, człecze sądzisz czyny,
Żeś w miłosierdziu nieograniczony
Bądź pochwalony!

JAN BYLICA.

ROBERT RYDZ.



DO CZYNU!

Hej, do szeregu Drużyno młoda!
Czas w jasne dążyć już świty —
Niechaj Cię łączy miłość i zgoda
I czystość serca duszy pogoda
Jasna, jak ni bios błękity.
Do czynu wszyscy stanijmy. śmiało,
Aby budować gmach złoty,
Bo kiedy Słowo Ciałem się stało —
Mamy Ojczyznę wolną i całą
Czas imać kielnie i młoty!...
Nie pora teraz na kłótnie, swary,
Bo te nas zgubią jedynie;
Już musi minąć porządek stary,
My pod ojczyste spieszmy sztandary,
Nie h nasza Polska zasłynie!!
Niechaj nie będzie ojczyzną nasza
Państwem nierządu, bezładu —
Lecz Jej potęgę niechaj rozgłasza
Miłość gorąca i praca nasza,
Inaczej zginiem bez śladu!!!

. . . .

W Tobie Drużyno, młoda i hoża —
Przyszłość ojczyzny spoczywa;
Wszak z szyi naszych spadła obroża,
Blaskiem złocistym zabłysła zorza:
Kujmy potęgi ogniwa!

JAK CI TO JASICEK FCIAŁ KUPIĆ KORALE...

Dowiedzieli się chłopcy — juhasi 1) od górala, co zeszedł w opłotki, że pod wirchem 2) Hrubego hań-kajsi 3) rosną ino samusie szarotki 4); że pod turnią „wielgachnią„ a szczytem (kany mozno jedynie wleść laten) każdy upłaz 5) wprost jakby okryty tym cudownym a rzadkim dziś kwiatem!

Toteż Jasiek, najstarszy syn gazdy 6)
nic nie mówiąc w osiedlu nikomu,
nim świt złoty pogasł wkrąg gwiazdy — już był zdala od swoich, od domu; a gdy słońce dosięgło Tatr szczytu i zawisło nad granią gdzieś nagą, - już ci piął się po złomach granitu, wywijając w powietrzu ciupagą 8); już ci piął się ku śnieżnej tej perci 9), lecz czem wyżej tem wolniej, zostrożna, wiedząc, iż jest w obliczu wprost śmierci; że krok mylny — a runąć wdół można!

Jeno w piersiach miał zachwyt i tęcze,
i coś w sercu jakgdyby mu grało:
...Narwiesz, Jaśku, szarotek naręcze, bo hań — w górze — aż od nich jest biało! a za wszystkie sprzedane wiązanki (które znajdą na pokup dłoń chętną!) kupis piekne korale lo Hanki, a i smatkę na głowę odświetną!

— Hej! a tol sie ciesyć dziewcyna bedzie temu“...

Coś bije mu w uszy i czem wyżej się wspina, tem mu jakoś weselej na duszy!..

— — — — — — — — —

Wreszcie stanął na złomie u szczytu i dokoła rozejrzy się bacznie, a spostrzegłszy biel kwiecia — z zachwytu jak ci krzyczeć z radości nie zacznie; jak nie huknie w pierś całą: „O, Chryste!!!“ aż mu w odzew zajękły wkrąg skały, aż te drobne kwiatuszki gwiazdziste z przerażenia i z lęku zadrżały.

Ale Jaśko nie zważa już na nic,
nie obchodzą go tera siklawy, 10)
grzmiące w dole, ni zbocza krzesznic, ni zielone i modre gdzieś stawy: jeno przypadł do skały z westchnieniem, roześmiany, szczęśliwy, jak dziecię, —
a oparłszy się o nią ramieniem,
jął łapczywie garściami rwać kwiecie!...

A co zerwie kwiat który w zapale, co go wplecie w wiązankę, to gada:
„.. Bedom, Hanuś, lo ciebie korale
i ze smatki haj bedziesz tez rada!...“

— — — — — — — — —

A tymczasem za ciche przełęcze już i słońce się zwolna schowało, i Jasicek miał kwiecia naręcze!

ale zwykle takiemu jest mało i rad jeszcze by zerwać choć z kilka i chociaż ze dwa, ze cztery ładniusie!..

...Do zachodu wszak jeszcze jest chwilka, a tak trudno się oprzeć pokusie! a tak trudno powiedzieć: ...„Już schodzę!..

a tak żal ci z tem miejscem się rozstać, bowiem sezam wprost kwiatów przy drodze: takbyś wszystkie odrazu chciał dostać żeś zapatrzył się przed siebie i nie czujesz,
że pod stopą twą głaz się kolebie;
że zaledwie skał innych się trzyma
i, że jeśli niebacznie swe kroki stawiać będziesz nad granią tą zdradną, głaz się urwie i... runiesz w potoki, no i Hance korale przepadną!...

Ale Jasiek nic nie wie, nie słyszy: rwie szarotki i, aby w dół nie paść — skał się chwyta....

— — — — — — — — —

I naraz— wśród ciszy coś z krzykiem runęło gdzieś w przepaść!!!

. . . .

I nie wrócił ci juhas już wcale żyw w osiedle do swoich, do chaty!.. i przepadły Hanusi korale! i powiędły zerwane gdzieś kwiaty!...

I nie mało łez gorzkich wylano,
a i smutek był wielki w dniu owym,
gdy Jasicka na trzeci dzień rano na „smentarzu“ grzebano wioskowym!...

Zakopane. EDWARD KŁONIECKI.

1) juhas młody pasterz, 2) wirch-szczyt, 3) haj-kajsi - tam gdzieś, 4) szarotka-kwiat górski, 5) upłaz-pochyłość, 6) gazda- gospodarz, 7) osiedle-zagroda, 8) ciupaga-laska góralska, 9) perć-ścieżyna górska, 10) siklawa - wodospad w górach.

WŁADYSŁAW WOSNAK.

ZIARNO NA DŁONI.

(NOWELA)

Starowina z trudem daje sobie radę. Biega po izbie za t m i za o w em, sapie, przystaje, gdy ją w piersiach coś bardziej piknie... że aż się ciemno w oczach robi, — poczem znów dalej. Znów sapi, znów idzie ku tej nieskończonej robocie. Nawet jej przez myśl nie przejdzie, aby chwilkę spocząć... na ławie, lub gdzie bądź. Jakżeż! Roboty huk, zaś ona w chałupie sama jedna. Resztę ludzi — jakby wyn iótł. Wszystko w polu.

Chwałaż Ci Panie!..

Z zadowoleniem spogląda raz po raz w okno. Ze strony chmur nic nie grozi. O to jedynie chodzi. Żyto suche, zaczyna się kruszyć, patrzy mu się być w stodole, a nie na pokłosach. Zarućko a będzie Tylko ich nie widać, jak nadjadą drabiniastym wozem, wyłożonym snopami po szczyt i jeszcze drugie tyle. Ho, ho! nie byle wóz! Dziadkowa robota... Wytrzymałby nie tyle Niema się co starać. Żeby tylko w chmurach coś się nie zmieniło, żeby stamtąd nie przyszła jaka niemiła niespodzianka. Oj, bo dosyć się należało żyto w pokłosach, dosyć namokło, zanim się wreszcie niebo przejaśniło, zsyłając słoneczny poratunek. Także i ludziska dosyć się nalamentowali i nawygląd li Bożego zmiłowania. Zato jak się dziś dorwali do pola... Trudno się kogo dowoł ć. Bez śniadania niemal, bez obiadu... Chyba się tem słonkiem żywią, co z taką siłą zajaśniało od rana. Ej, zajaśniało ono, zajaśniało! juści nie poco innego — jak poto, by zleżałe kłosy, z mokrzyzny otrzepać i ludziom wygodzić. Dobre słonko, niema co mówić.

Starowina krząta się koło wieczerzy, jak może, chociaż myślami jest w polu, gdzie tamci żyto wiążą i na wóz ładują; gdzie zapach żniw zalatuje aż pod serce. — To przynajmniej robota! Nasili się człowiek, bo nasili, ale wie przynajmniej, że coś zrobił. Nie tak, jak w domu. Choćby człowiek ręce poobrabiał, paznokcie poździerał — nikt tego nie zobaczy... śladu — znaku. Próżne garnki i nic więcej.

Tamci se przynajmniej użyją! Hej, mocny Boże! toć jej wyraźnie staje przed oczami, jak to bywało dawniej.. w owe zbiórki, gdy ona mogła wyjść w pole. Jakaż to radość przejmowała człowieka, gdy trzymał w ręku ziarno, powracające w swej nieskończonej wędrówce z ziemi do człowieka. Bywało, bywało, ale już nigdy nie będzie. Są młodzi, muszą także oni nacieszyć się dosyta, aby im nie żal było życia. Niech se używają, niech... Nie zazdrości im. Wie, że co fala życia uniosła nie wróci. Przeszła młodość. Oj, dawno przeszła. Trzeba teraz żyć radością tamtych. Ich zachwyceniem i ich nadzieją.

Dziwna rzecz. iż ta radość życia w jej pokurczonem ciele nie więdła z upływem dziesiątków lat. Rok rocznie z jednakiem utęsknieniem spozierała na łąki, ry hło sianokosy nastaną, rok rocznie z tem samem uczuciem oczekiwała żniw. A gdy nadszedł czas upragniony, brało ją wtedy coś za serce, coś przeogromnego, że chętnieby się pogoniła z dziećmi po skoszonej łące, lub na wielkiem owsianem ściernisku I do wielu innych rzeczy ją pchało, że szkoda wspominać.. Zdawało się jej, że to młodość powraca.

Gdy wszyscy porozchodzili się w pole, ona została, aby przyrządzić obiad czy wieczerzę. Starała się wtedy popròbować swych sił, chcąc dać tem dowód, że... tak się widzi, ale ona jeszcze sobie... jeszcze w siłach.. Latała też z kąta w kąt, sama za wszystkiem uganiając, w dodatku małe dziecka mając na oku. Czasem ją tam coś pikło, to znów kolło... pod łopatką, w krzyżach, koło serca... Czasem robiło się jej mdło, że duchem leciała po ocet, by natrzeć skronie. Nie uwierzyłaby nigdy, że to może z nadmiaru użycia sił, których prawie już nie było. Nie, broń Boże! to tylko przez ten przeciąg... tu okna, tam drzwi otwarte...

— Że też te dzieccyska tak się kręcą i nigdzie usiedzieć nie mogą!

Narzekając na dzieci, chodziła od drzwi do drzwi, od okna do okna, zamykając otwarte, sprawdzając zamknięte. A gdy to nie

pomagało, wyjmowała flaszki z „Leśpererem“ lub „Żmilecnikiem“, nacierała zbolałe miejsca, chcąc pozbyć się gościa, który jej wlazł, gdy to ją we drzwiach zawiało. Ale niechby coś w garnku zapyrczało głośniej, rzucała zaraz wszystko i biegła w stronę pieca. Bolenie nie ucieknie, zaś coby było, gdyby ziemniaki przewrzały! Niechże święci bronią! Wieczerza być musi jak należy. Napracują się tamci w polu, więc i zjeść muszą.

Tym razem zabrakło jej wody. Woła na małego Franka, dowołać się nie może.

— Franuś kochany, przynieś-ze mi wody ze studni.. w tym tylko garnku.. nie zmordujesz się... Ja od garnków i ognia odejść na krok nie mogę

— A co mi dacie?

— Dam ci co, ino idź.

— No, a co?

— Potem ci powiem, teraz idź, bo mi pilno wody.

— Kiej ja chcę wiedzieć najprzód.

Chłopak nie ustępuje, wiedząc, że od babki różności można wycyganić.

— Oddam ci kurę jak umrę.

— Czubatą?

— Dyć wiesz, że innej nie mam

Franek wie, ale dla pewności warto się zapytać. Potem łapie garnek i pędem wylatuje z izby, trzasnąwszy drzwiami, aż święty Antoni spadł ze ściany.

Babka sapiąc, zbiera szkło potłuczone.

Jezu Mogileński! co to za ogień... Z tego chłopca będzie cosi. Żeby tylko mu się co kiedy nie stało. O święty Antoni!

Łapiąc się za piersi, idzie do swych garnków, z których bucha para. W jednym coś pryska.

— Franek, dejze prędzej!

Ale o chlopaku żadnego słychu. Podchodzi więc do okna, otwiera i woła:

— Franuś!...a prędzej, bo na kaszę garnek chce mi pęknąć

Lecz Franusia ani znaku. Grzegorzka patrzy na studnię — nic. Ani garnka, ani chłopaka. Coś ją pikło. Nie myśląc wiele, idzie sama do studni.

— Gdzie rozum miałam, aby dziecko posyłać po wodę....

Zła jest, że stara a tak ją czasem coś omani.

- O Jezu, Jezu!.. a może?.. o wszyscy święci!.. Mógł się łatwo pośliznąć... Franuś.

Zdyszana oparła się o studnię. Nigdzie nic nie widać: ani garnka, ani chłopca. A może wpadł ze wszystkiem... nachylił się, chciał nabrać wody i.. Gdzie rozum, gdzie rozum!.. Tak, najprędzej to się stało.

Bierze długi kij i wpycha we wodę. Słabo jej się robi, coraz większy brak tchu. Ale kijem maca - to tu, to tam. Naraz palce jej drgnęły... kij zahaczył o coś miękkiego... Przeraźliwy krzyk:

Ratujcie!

Zemdlała.

— — — — — — — — — —

— — — — — — — — — —

Franek tymczasem dzielił się nowiną z Walkiem sąsiadá.

- Prawdę ci mówię, że mam kurę.

— Ty? nie pleć

- Kiej ci mówię, że mam to mam. Babka mi oddali.

— Jakto?

— Pedzieli, że jak umrą, to mi oddadzą.

Walek ryknął w śmiech.

— Aleś ty głupi! Strasznieś głupi. Twoja babka może umrzeć za sto lat, to kura do tego czasu dziesięć razy zdechnie. Aleś mądry!. Figę masz nie kurę.

Frankowi zaczęły się oczy otwierać. Garnek położył na ziemi, nie myśląc wcale o wodzie. Oszukała go babka z kurą, to niechże poczeka sobie teraz na wodę. Myślą starzy, że jak kto mały, to już zaraz można go wodzić za nos. Coby nie!

Wtem doleciały go od domu jakieś hałaśliwe krzyki.

— Pewnie przyjechali ze zbożem...

Chwycił garnek i pognał ku domowi.

W istocie fura stała na podwórzu, ale sama. Wszyscy ludzie, nie wiedzieć dlaczego, obstąpili studnię, wykrzykując jakieś niewyraźne zdania.

Co się tam stać mogło?

Stanął pod filarem stodoły, wypatrując pilnie, co ci ludzie będą wyprawiać koło studni. Czyżby im się wszystkim tak odrazu pić zachciało?

Grzegorzka, powróciwszy do przytomności, wykrztusiła dwa słowa:

— Franek.. utopił się...

I znów zemdlała.

Taraz jedni zabrali się do dalszego jej cucenia, drudzy grabiami zaczęli obmacywyć dno studni. Istotnie po krótkiem poszukiwaniu natrafiło któreś na coś, co mogło każdego zaniepokoić.

— Już po nim!. Tu do mnie drugie grabie... ciągcie.. Już po nim Luguśki jak pióro... Dobrze już naszedł wodą, byłby wnet sam wypłynął na wierzch... Lećcie które po matkę!.. Nie.. nie teraz...

Powierzchnia wody rozwarła się...

Jedni w śmiech, drudzy rozwarli tylko usta -

— Co tam? krzyknęli ci z tyłu.

— Patrzcie jaki topielec... kura!

— Pod sprawością... biała babczyna utopiła się.

Wtedy przyskoczył Franek.

— To moja kura! - krzyknął i rzucił się ku tym, którzy trzymali ją na grabiach.

Wszyscy oniemieli.

— Franuś... a skądżeś się ty wziął?

— Ja... skąd?

Nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Nikt się go jeszcze tak głupio nie pytał. Skąd?... Co to ma znaczyć podobne pytanie. Wogóle... czego oni wszyscy chcą? Dlaczego tak dziwnie patrzą się na niego.. Zaczynało mu się w głowie kręcić. Zdobył się jeszcze na tyle, że wykrztusił:

— Oddajcie mi moją kurę.

Gdy Grzegorzka otwarła po raz drugi oczy, zobaczyła przed sobą zatroskanego Franka, usiłującego za wszelką cenę zmusić czubatkę do stania i trzymania głowy, jak się należy.

—Co się stało? — wyszeptała.

— Kura wam się utopiła.

Z niedowierzaniem spojrzała na chłopca. Mogła przypuszczać, iż przeszła do nowego świata bytu, gdzie zaraz na wstępie spotyka się z wnukiem. Ale nie... Wszystko tak znane: tu studnia, tam dom, stodoła, stara lipa, grubaśny jesion, dąb pogarbiony... Jeszcze nie.

Usunąwszy wszelkie wątpliwości, poniosła wzrok dalej, aż zatrzymała go na furze, pełnej jędrnych snopów zboża Widok ten tak ją pokrzepił, że wkrótce o własnych siłach poszła przyrządzać wieczerzę Przedtem jeszcze podeszła do wozu, wyciągła jeden kłos i rozmięła go na dłoni Plewy porwał wiatr i uniósł w świat daleki. Na spracowanej dłoni pozostały grube, spaśne ziarna-plon ziemi, słońca i rąk ludzkich. Na sfałdowanej twarzy zakwitł blady uśmiech zachodu

— Grube ziarno.. ciężkie.. Dobry rok. Chwała Ci Panie!

— o —

OSTATNIE ŻYCZENIE JANKA

Tak młodziusieńki, konam w życia wiośnie,
Wijcie dziewczęta na mą trumnę wianki,
Z smutnych barwinków, wonnej macierzanki,
Rosząc je smutnie łezkami żałośnie.

W serduszkach czułych niechaj wam żal (rośnie,
Że tak młodziuśki mrę w wiosenne ranki,
Nie zdążył wybrać, z pośród was kochanki..
By moje serce zakwitło miłośnie.

A gdy mię wieńcem otoczycie w trumnie
W białe sukienki, ubierzcie się szumnie,
Główki jak druchny ubierzcie we kwiaty,

I blade smutkiem z łezkami w oczętach
Na swe ramiona, weźcie mię dziewczęta,
Nieście na cmentarz z mej rodzinnej chaty.

JANTEK Z EUGAJA.

J. S POBRATYMIEC.

KATEDRA

Wchodzi gazda skądś od Zawadki, i kłaniając kapeluszem ku samej ziemi, zaczyna rozpowiadać:

Dobry wiecór, moi państwo! dobry wiecór! Nie kupilibyście se drewek? – Mom straśnie pikne trzy stósiki, i nie drogobyk je sprzedoł, bo ciemnawa sie robi na swecie, a mnie straśnie do domu pilno.

— Nie kupicie? — no, to nie. Bede je cheba musioł nazod zawieść do Zawadki.

— Bo jo włościwie nie z tym interesem do miasta przyjechoł, jeno — jedno przy drugiem kciołem załatwić. Niby.. poradzić sie, bo to w mieście zawdy noród oświeceńsy, i na wszyćko śpekulantszy. — To jest tak:

— Urodziła mi sie — wiecie — dziewucha. No, i dobrze moisciewi. Dyć mi nie piersyzna Ale u nos we familji taki zwyk, ze kto se jakie imiono na świat przyniesie, takie mo. Mòj ociec urodział sie piersego moja, to je Kuba, matka w samiutką wiliję, to -Jewka, — jo trzydziestego piersego lipca, ha ro to Ignac „Co Go boli“, 1), a syn piersy przysed na świat dwudziestego piersego cyrwca, to jest Alojes. 2). No, i — wiecie, moiściewi — ta dziewka teroz urodziła sie rakurat dwudziestego trzeciego lutego. Kcemy ją krzcić, pozieromy w kalendorz, raju boskie swięte! – a tu stoji jak byk „Katydra swiętego Pietra!“ — No. nie kora bosko? — Pietrkiem ją nazywać, nie sposób bo przecie dzieuszysko, a wołać na nią „Katydra“ nie uchodzi, i cały narodby sie we wsi smioł z tego do rozpuku.

Ka 3) ty drzes? — Ka ty drań! Ka tyn drob! Przydzie do urwanio łbu w tej opresyji.

Możebyście mi co państwo doradzili, jak tu wyjść z tego falimentu, bo som — widze, ze nie poradze. Dosyćmy sie we wsi naśtuderowali, i z wojtem, i z kumotrami, a „moja“ to mi nawet radziła iść z tą sprawą do nasego posła, coby co wyśpekulował, bo po cozmy go wybierali?

— Z tym moim synem to tez było troche tryjontów, ale juz z inksej becki. To było tak:

Jak sie urodział dwudziestego pierszego cyrwca, wiec o imiono sie nie rozchodziło, bo se je przyniós. Tylko — miljońsko bieda zjadła! ej, zjadła! — jakmy przyśli do kościoła go krzcić, dokrzty sie nom jakosik pomiesało w głowie, jakie to imiono mo być. (Trocha sie ta pierwy wypiło, i rozumy były przyprusone) Kumotrowie zabacyli, a i my tak samo ze nie sposób. —

Tak ksiądz wikaryjo — co mioł krzest odprawiać, pyto sie: jakże go nozwiecie? A nom jakby gębe zamurowało. No, nie porada. — Tele tylko sie kumosce Grociokowej po głowie plątało, ze to imiono mo być takie jak to, co sie choremu za przeprosieniem wasym i tyk obrazów — (uchyla kapelusza) na przecyscenie daje.

Tak dopiero gdy to pedziała, godo ksiądz wikaryjo do niej:

— Chłapiecie ceć nie co! – I usmiechuje się, krotry. — Moze rycynus? — pyto.

— Nią!

— Może senes?

— Nią!

— Może rymbarbarom?

— Nią!

— No, to maślonko?

— Jee, do cego to podobne.

— Cheba alojes?

— To, to, to, jegomościcku kochany. Alojzek!

Alojzek! - No i okczciał go na Alojesa.

— A mojemu swokowi to sie jesce roz gorzyj przytrefiło. — Wiecie — moisciewi — mioł córke, niby nie on, ino jego baba, ale to nic, bo un był jej ociec, cyli mąź swojej baby, a na pana chorowoł, i kcioł koniecnie żeby ta còrka miała dwa imiona. Po pańsku! – I też tak: wysukuje jakieś „widerkafy“, to „Grywypino“, to „Dosmitela“, to „Matylda“, to „Lejekandyjo“, — wreście wybrоł „Japolonja“ i „Kundygunda“ niby bo o „Japoloniji“ wycytoł w jakisik książce że to było straśnie po modzie, a „Kundygun-

1) Lojoli, 2) Alojzy. 3) Ka – Kaz – gdzież ty drzesz (gonisz)

da“ bo jego niebożycka matka też miała takie miano. No, i co powiecie — przy krzcie tak mu sie to wszyćko pomiesało we łbie, ze nie powiedzioł przy zapisywaniu w metryce: „Japolonila“, „Kundygunda“, tylko „Opolony koniec gonta“!

Co potem z tego było śmiech,u to niewypowiedzianie, i długo, długo, jak przysło komu we wsi podać nazwisko swoka, to inacyj sie o niego nie d pytoł tylko ten „opolony koniec gonta“.

— Tak, moisciewi!

— Casem sie tak trefi ze cłekowi takie smieszne imiono przylepią Jo znoł jednego drucIorza, co mu było „Bolikark“ (śmieje się.) Raju boskie święte! Wiele razy my mu dawali gorki w chałupie drutować, to my z „moją“ sie tak smioli az nos brzuchy bolały. Bo gdzie to takie imie: „Boli kark!„

—Znołem też jednego miastowygo — co był zekutorem przy podotkach – ale to ten był zaś „Pan Talijon“!! To juz prędzej chocioż tez smieśnie, bo un na pana nie straśnie wyglądoł, a po talijańsku nie umioł ani słówecka. Tak ci casem coś ojcom we łbie zaświto, i dadzą ci takie imiono ze z nim tylko pośmiech, abo obrazo bosko.

— Jo, bo jestem Ignać. — To jakosik pieknie brzmi. Niby „miglanc“, abo jak. A moja baba „Jewka“, — Tyz po formie, telko teroz mom takie stropienie z tem dzieuszyskiem!

— Panoskowie nie mają na tô jakiej rady? — Nie? — Drzewa tyz nie kupią? Nie? — No, to nie! – Posukom gdzie mądrzejsyk. (Wybiegając raźno:) Raju boskie święte! co jo pocnę z tą moją katedrą“?!!

Z CYKLU: NAD RZEKĄ.

WIECZÓR.

Miękie wstążki złociste zmrok na fali kładzie,
Nadbrzeżnych latarń światła jasne skrzą wzdłuż rzeki,
Jak złote arabeski w damasceńskiej szpadzie
co wbija lsniące ostrze w horyzont daleki.

A czarne linje dachów w tej ciszy uśpione
nad ciemną klingą rzeki tak nisko się chylą,
splątane w opalowe — srebrną mgły zasłonę,
która wznosi się, zniża - z lekkością motylą.

- Bije zegar na wieży. Ileż to już — ile
takich godzin upadło z pluskiem fali na dno,
ile jeszcze zastygnie ich w nadbrzeżnym pyle —
(może na czyjeś serce ciężkim głazem padną?) –

w oddali huczy miasto. Tam życie mknie biegiem,
pędzi cwałem, — chce wieki pochłonąć w godzinie —
Tu w gwiazd poświacie Cisza usiadłszy nad brzegiem
patrzy, jak czas na falach w nieskończoność płynie. —

DANUTA BURSÓWNA.

FRANCISZEK LIPIŃSKI



TRUD.

Ja wiem, Panie, jak ciężko jest tworzyć
rzeczy ludzkie kruche i nietrwałe —
czem są one wobec Twoich, Boże,
które żywisz Swym duchem wspaniałym?

Kiedy zbliża się do mnie ten moment,
który mi trud nieznany przynosi —
czuję moce Twych blasków ogromne
i o łaskę Twą dla siebie proszę. —

Tyle burzy, słońca we mnie szumi,
tyle uczuć mną bezkresnych miota;
darmo pragnę je swą wolą stłumić
i uciszyć nadludzką tęsknotę!

Myśl mię pali, chce słowami strzelać,
niebo stwarzać, bogów, ludzi dzieje!
A gdy zacznę to w pieśń prostą wcielać,
wszystko we mnie, nim wydam — zetleje.

Jak Ci życie wyśpiewać bezkresne,
jakiem dziełem dziękczynnem obdarzyć,
kiedy trwoni mnie życie bolesne
a Twój ogień w mej duszy się żarzy.

Już nie wydam większych dzieł od siebie,
bom jest człowiek słaby i ułomny —
w własnej duszy jeno myślą grzebię
i buduję sobie świat — bezdomny. —

Ty wiesz, Panie, jak ciężko jest tworzyć
dzieła, które przetrwały świat ten. —
O, pal wieczność w moim duchu, Boże,
i okryj mię łaski amarantem!

— oOo —

PO BITWIE

Fragment opowieści.

..... Czesław zwalił się w bezruchu na twardą, białym śniegiem usłaną ziemię. Lepkie dłonie grozy objęły czoło, pod zamkniętemi powiekami wirowały purpurowe mgławice, zacięły się boleśnie wytworne usta. Leciał w jakąś straszliwą pustkę, w przepaść mroczną i bezdenną. Nie czuł już nic, jeno resztkę zamierającej świadomości, słyszał cichnący terkot karabinów maszynowych. Dalekie, mrukliwe, postękiwania dział, bitewny zgiełk, głosy komendy, bezładne narzekania rannych, wszystko zlało się w piekielną muzykę przenikającą całe jestestwo. Ale i to umilkło, rozpłynęło się w tępej niewiedzy. Mijały chwile, kwadranse i godziny. —

W jakimś nienazwanym momencie ożył szum w uszach, rozsunęła się krwawa opona czerwonych oparów. Czesław poczuł w skroniach walenie jakby tysiąca młotów, przeniknęło go do głębi ostre zimno mroźnej, lutowej nocy. — Z trudem otworzył ciężkie, obolałe powieki. — Na granatowej kopule nieba migotały złociste roje gwiazd...

Próbował się dźwignąć i szalony, wprost nieludzki ból w prawej nodze rzucił go znowu na ziemię. Podparł kułakiem ciężką głowę, usiłując sobie przypomnąć dzieje minionego dnia. Był ranny. Ani wiedział, kiedy to się stało. — Pamiętał bohaterskie przedzieranie się brygady przez ciasne kolisko wojsk austrjackich. Wiedział, że nie wszyscy przejść zdołają... Walczył mężnie w pierwszych szeregach, gdy oto drogę zastąpił mu smutny, żołnierski los. Kula karabinowa strzaskała mu prawe kolano. Ból był tak straszny, że doktora opuściły siły. Pamięta, jeden z towarzyszy wywlókł go w zaciszniejsze miejsce, ratować chciał, lecz austrjackie maszynki terkotały zajadle, co raz bardziej zaciskał się złowrogi pierścień... Za innymi pobiegł pędem towarzysz ostatni... Doktora ogarnęła noc... To było wszystko. Leżał teraz na pustem, śniegowem polu, snać sam, bo żadnych głosów nie było słychać. W ostatniej przysłudze zawlókł go kolega na skłon niewielkiego pagórka. Jakieś drzewa majaczyły w oddali...

Zaciąwszy zęby zebrał się w sobie i na rękach począł pełznąć w stronę drzew. Nagle wyostrzony jego słuch uderzyły jakieś zmieszane głosy. Z wysiłkiem zwrócił głowę. Na białem śniegowem prześcieradle poruszały się za nim jakieś ciemne plamy. Wstrzymując oddech, przyspieszał, jak mógł, swą bolesną wędrówkę. Dobrnął nareszcie do drzew. — Były to stare, potężne dęby. — Najbliższy, pień miał gruby i niskie konary. Jakby instynktem wiedziony Czesław wytężył wszystkie siły, wspiął się na zdrowej nodze, uchwycił rękoma najniższą gałąź dębu i z nadludzkim wysiłkiem dźwignął się w górę. Chroniąc od uderzeń bezwładną, okaleczoną nogę piął się wyżej i wyżej...

Tymczasem nadpłynęła skądś mgła i dużemi płatami zaczął padać miękki, wilgotny śnieg...

Drżał z zimna, ale trzymał się siłą woli. W rozłożystych konarach dębu znalazł możliwy spoczynek. Siedział na grubej gałęzi, jak na koniu, chorą nogę wyciągnął poziomo na szerokim konarze, plecy oparł o pień dębu, lewą stopę wparł w tęgiego sęka, niczem w wygodne strzemię. Jedną ręką objął pień drzewa, a drugą sięgnął do kieszeni. Nie był bezbronny! W wirze walki zginął jego wierny steyer, został jednak w kieszeni nieodstępny, mały Brauning z sześciomа nabojami w magazynku Przywarł do pnia i nadsłuchiwał, starając się przebić oczyma śnieg, mgłę i ciemności. Ale nic dojrzeć nie mógł. Po niejakim czasie czekania, które wydało mu się wiekiem, a trwało może kilka minut, dosłyszał ciężkie stąpanie i gwar głośno prowadzonej rozmowy. — O co się tam sprzeczano i nie przebierano w wyrazach. Ścisnął silniej brauning w ręce i wstrzymująca oddech, natężał słuch. Zapomniał na chwilę o swej ranie....

Głosy się zbliżały; Czesław, wychowany w okolicach Lwowa umiał doskonale po rusku, a w tym języku toczyła się rozmowa, czy kłótnia — akcent tylko i niektóre wyrazy były nieco inne.

Ach ty Iwan jaki ty „durnyj“ mówił jeden głos płaczliwie, tak za taką robotę jaby i rubli złotem sto ne chciał, a ty „za durno“ tych żołniriw pochoronił i my musieli nockę całą pracować dla Austrijców — A ot idź-że ty mudreć i sprzeciw się Austrijcom — Takie ci lanie sprawią, że cię maty nie poznaje! Ot smatri, co ja zdieś maju: to ładne dieńgi stoit. A widisz, kolców jest niemnożko, i „czasy“ charosze, a ot i dieńgi najszoł u kilku tych gerojów.“ —

— Tak podziel się brat — u mnie żinka i dzieci mnoho... —

— No tobie nie dał Boh rozumu? nie mógł ty poiskat' u tych sołdatów? —

— Iwan, mnie się zdaje, że to grzech tak szukać, - ciągnął płaczliwy głos, — ale jak ty już zabrał, tak podziel się z bratem. Ja tylko jednemu kolco chciał zdjąć, więc ja palec nożem ciach i kolco zdjął, a on biedneńki otwarł oczy i spojrzał na mnie. Oj biednaż jego dola naco jego maty na świat dała? na co? —

— A ty co zrobił? — pyta bas. —

— Tak ja mu biedniażce na piersi kląkł i tym nożem po szyi przejechał, szczob nie muczilsia bolsze, zawsze to chrześcijańska dusza objaśniał płaczliwie tamten. —

— Isz go, przemówił bas — hrech, jemu dobro brać, a nie hrech ludzi muczyty — a? Nie dam tobie nic, rybeńko, ty tam nie jedno kolco zdobył — nie. A taki oni głupie byli, co się z Austryjcami i Germańcami boryty chciały. Nasz, wiadomo mocny był a nie zdzierżył - a co ony chudziaki.—

— Dobrze im tak! polskije maładcy - pisnął rozżalony odmową towarzysza płaczliwy głos. —

Przeszli w pobok dębu, ucichły ich kroki i rozmowa. Czesław słuchał tych wynurzeń zdrętwiały. - Gdyby ocknął się pół godziny później!! Ludzie — szakale dobiliby go z pewnością! Jaki Bóg dobry, jak ten śnieg w porę zaczął padać! —

Nie myśląc o jutrze, bez słów dziękował Stwórcy za ocalenie. Zdjął pas, przywiązał się mocno do drzewa i mimo bólu zapadł w kamienny sen śmiertelnego wyczerpania. —

JADWIGA IMIELANKA.

MYŚLI — zebrane przez Sigmę.

Polacy ulegają bardzo mądrej pedagogji niemieckiej i rosyjskiej i na tej podstawie ułożyli cała szkołę Polski trędowatej i gnijącej. — Świerzawski.

Nieuctwo jest korzeniem wszystkiego złego. — Benedykt XIII.

Z MEJ TEKI.

ZEBRANE PZREZ SIGMĘ.

Orlem przez młodość człowiek przeleci,
Przez życie idzie oraczem.
Zerwie ten szczęścia swego nić
I marnie życie straci — —
Kto pożytecznym nie chce być
Dla swoich braci!
Wdzięk ucieka w lot sokoła

Czas goni co sił — — — —
Nikt młodości nie odwoła,
Choćby sto lat żył!
Ten tylko pojął dobrze,
Co to znaczy życie — — —
Kto swoje obowiązki
Pełni należycie.

DZIAŁ KRYTYCZNY.

WIECZÓR POEZYJ Z EZOTERU.

Dnia 7 października b. r. urządził miesięczuik poetycki „Ezoter“ wychodzący w Krakowie wieczór poezyj, na którym wygłosili artyści teatru miejskiego i autorzy szereg utworów.

Dużą salę zapełniły tłumy inteligencji interesującej się poezją spółczesną i szereg młodzieży studjującej na uniwersytecie.

Na wieczorze wygłoszono wiele wierszy o niejednolitej wartości literackiej. Usłyszeliśmy parę pięknych wierszy w wykonaniu art. dram. Żmijewskiej, Neubelta, Kastory i Tarnawskiej. Poziom recytacji był niejednakowy, cóż dopiero mówić o recytacji samychże autorów!

Pięknie zadeklamowała wiersze St. Kaszyckiego Żmijewska. Z odczuciem i przejęciem wygłaszała wiersze Rusinka Castory, powołana deklamatorka. Recytacje Neubelta, wypadły mniej udatnie. Clou wieczoru była autorecytacja znanego poety Gałuszki, który dwoma wierszami „Powódź“ i „Królowie-Dziadowie“ wzruszył publiczność i gorąco był oklaskiwany, Warunki głosowe poety nadawały specjalny ton wyglaszanym z przejęciem wierszom.

Autorecytacje innych poetów wypadły blado i bez wyrazu.

Wieczór był interesujący i pozwolił nam ocenić wysiłki twórcze nowej placówki poetyckiej (L. Patrycy, Michal) ze strony dodatniej. —

MICHAŁ RUSINEK: „KAPITAN CZERWONEGO WIDMA“. Nakładem księgarni „Stella“ w Katowicach.



W b. r. ukazał się tom nowel morskich Michała Rusinka. Debjut młodego pisarza jest o tyle interesujący, że poruszył i opracował temat, który jest najbardziej żywotny dla narodu polskiego. Z pisarzy naszych wielki Żeromski pierwszy wyśpiewał u nas na cześć morza wspaniałą pieśń godną najwyższej pochwały.

Rusinek poszedł w ślady Żeromskiego. Autor w nowelach morskich opiewa życie polskich marynarzy, ich radości, smutki, życie na pokładzie i na lądzie w sposób prosty, jędrny lekki, że utwory w tomie czyta się jednym tchem. Bogate słownictwo, jakiem operuje w tworzywie, świadczy o głębokich studjach poczynionych w tym zakresie.

Fantazja autora i lubowanie się w niesamowitościach wyładowuje się najdosadniej w „Kapitanie czerwonego widma“ i w „Oknie egipskiej willi“, ostatniej noweli niezwiązanej niczem z opowieściami morskiemi. Książka wydana pięknie, a przystępna cena niewątpliwie zjedna jej czytelników, ktrzy ukochali polskie morze.

F. L.

ROBERT RYDZ: „WALKOWE KOCHANIE“. Obraz dramatyczny w 4 aktach ze śpiewami. Nakładem księgarni A. Cybulskiego w Poznaniu.

Znany dobrze wsi polskiej poeta ludowy Robert Rydz postawił sobie za zadanie dać wsi naszej współczesny dramat ludowy i do celu tego dąży bardzo konsekwentnie. Po „Kwiecie Paproci“ i Szatanie“ granych z olbrzymiem powodzeniem niezliczoną ilość razy w setkach a bodaj [czy nie tysiącach scen ludowych, pojawia się obecnie „Walkowe Kochanie“. Jak wszystkie utwory tego pisarza, tak i ten uderza w nałogi wsi i zwalcza je, dźwigając, pouczając a podnosząc, Robi to Rydz umiejętnie co przychodzi mu tem łatwiej, że zna lud doskonale, kocha go podobnie jak pragnie jego dobra.

Po Bojce i Kurasiu nazwisko Rydza jest dziś najwięcej znanem po wsiach zwłaszcza wśród młodzieży.

Fr. L.

Fr. LIPIŃSKI: „Pieśń o miłości“ nakładem Redakcji Strzechy, Katowice 1928.

Skład główny Gebethner i Wolff.

Z pośród młodych talentów poetyckch wyróżniu się i wybija na pierwszy plan, autor książki p. t. „Pieśń o miłości zwycięzkiej“ Franciszek Lipiński. — Niema w strofach tej pieśni pustych frazesów, ale każda strofa, każde zdanie orzepojone jest ideą miłości bliźniego — głębokiego odczucia niedoli szarych tłumów — znękanych wojną i jej siostrzycą, nędzą —

Poeta pragnie dla ludzkości nieba na ziemi — pragnie szczęścia i tej wielkiej miłości, którąby wniosła w ludzkość braterstwo!

W poezji Lipińskiego nie czujemy szarego romantyzmu ni lunatycznych marzeń, a'e dojrzałe myśli przyobleczone w piękną formę współczesnego wiersza.

Książka wydana estetycznie i pięknie pod każdym względem, a okładka wykonana przez art. malarza i grafika p. M. Demczuka zamyka artystyczną całość.

R.

Dr. STANISŁAW KULPA

KAPITALIZACJA RENT INWALIDÓW WOJENNYCH.

Ukazała się w druku książeczka o kapitalizacji rent inwalidzkich opracowana przez wybitnego znawcę tego działu prawa Dra Stanisława Kulpę. Autor w sposób przystępny omawia przepisy kwestji kapitalizacji dotyczące, zamieszcza gotowe wzory podań, załączników oraz deklaracji, a nadto podaje gotową tabelę zawierającą skapitalizowanie kwoty dla każdego wieku, kategorji oraz grupy rodzinnej. Ponadto w książeczce zamieszczono w oryginalne ustawę inwalidzką i rozporządzenie ministerjalne kwestji kapitalizacji dotyczące. —

Książeczka wypełnia dotkliwą lukę w tej dziedzinie prawa i wszystkim zainteresowanym poleconą być może tem więcej, że i cena jej 1 zł. 50 gr. za egzemplarz jest bardzo przystępną.

Skład główny Księgarnia Gebethnera w Krakowie Rynek.

LUDOWY ZWIĄZEK ARTYSTYCZNO - LITERACKI „PROMIENIŚCI“ W KRAKOWIE.

Dnia 2 czerwca br. odbyło się walne zebranie L. Z. art- lit. „Promieniści“ w Krakowie, na którem wybrano wydział w następującym składzie. Dr. Stanisław Kulpa (prezes) Robert Rydz (v prezes) Franciszek Lipiński (sekretarz), członkowie: Wilhelm Rosiek, Józef Sadulski, Michał Rusinek, oraz Dr. Eranciszek Dziadkowiec.

Członkowie Komisji kontrolującej: Dr. Kazimierz Gołba, Walenty Kosarz, Józef Kapuściński.

Członkowie sądu honorowego: Dr. Władysław Koss, Antoni Kucharczyk (Jantek z Bugaja) oraz Franciszek Mleczko.

Odpowiedzi redakcji.

WPANI IM. MOKRZYSZÓW: Utwory nadesłane pójdą w następnym numerze. W tym numerze idzie nowelka. Prosimy o obrazy z życia wsi. —

W. PAN WŁODK. SŁUPCA: Po dokładnem przestudjowaniu nadesłanego dramatu, odpowiemy listownie. Wiersze pójdą w następnym numerze. Prosimy o zwarte, krótkie utwory i prozę. Przedewszystkiem artykuły !

W PAN WOS. SOLEC: Nowela „Ziarno na dłoni“ idzie. Dwie pozostałe zużytkujemy w następnym numerze. Wiersze piękne, pójdą. —

W. Pan MARC. BIEŃKOWICE: Sztuka dobra. Będziemy drukowali w feljetonach w piśmie.

W. PANI E. NIEMCZ. w Bieczu: Prosimy o obrazki krótkie, zwarte i treściwe. Czekamy. —

W. PAN POBRAT. Myślenice: Idzie „Katedra“. Prosimy o tego rodzaju utwory do następnego numeru. Djalogi humorystyczne, satyrę chętnie drukować będziemy

W. PANI MARYLA WI.. Obroszyn. Wiersze dobre. Konieczną praca nad pogłębieniem myśli. Dwa nadesłane obrazki pójdą. —

OGŁOSZENIA.

Red. odp. Dr. Władysław Koss. — Druk. Kresowa w Krakowie.